

ROBERT
WHITLOW

WYBÓR

Przekład
Zbigniew Zawadzki

Wydawnictwo WAM
Księża Jezuici
Kraków 2014

Tytuł oryginału
THE CHOICE

© 2012 by Robert Whitlow
All Rights Reserved. This Licensed Work published under license

Cover Design: M.80 Branding
Original Package Design © 2012 Thomas Nelson, Inc.
Cover Illustration: Wes Youssi
Photography: Shutterstock

© Wydawnictwo WAM, 2014

Redakcja
Ewa Zamorska-Przyłuska

Korekta
Dariusz Godoś

Projekt okładki według oryginału
do druku przygotował
Andrzej Sochacki

Łamanie
Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-277-0012-4

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia
POZKAL – INOWROCŁAW

Rozdział 1

Rutland, stan Georgia, 1974

Sandy Lincoln nerwowo nawijała na palec wskazujący kosmyk długich, jasnych włosów. Na jej kolanach leżało nieotwarte czasopismo, ze zdjęciem Olivii Newton John na okładce i obszernym artykułem na temat niedawnego rozpadu związku Cher z Sonnym.

– Dlaczego to tyle trwa? – zapytała.

Matka spojrzała na zegarek.

– Dopiero trzydzieści minut. Może wolisz iść teraz do domu, i żeby doktor zadzwonił później?

– Nie – odpowiedziała Sandy natychmiast. – A co będzie, jeśli tata odbierze telefon?

– Masz rację – odpowiedziała matka, ciężko wzdychając.

– Nie wiem, dlaczego tak pomyślałam.

Ciemnowłosa pielęgniarka koło trzydziestki wsunęła głowę do pokoju.

– Panno Lincoln, można panią prosić?

Usłyszawszy te słowa, Sandy odruchowo chwyciła matkę za rękę i po sekundzie puściła. Poszły za pielęgniarką wąskim korytarzem w kierunku gabinetu lekarskiego.

– Co wyszło w teście? – zapytała nerwowo Sandy.

– Doktor Braselton za chwilę do pani przyjdzie – odpowiedziała pielęgniarka, przytrzymując otwarte drzwi. – Wszystko z panią omówi.

W gabinecie było tylko jedno krzesło. Sandy wskoczyła na stół do badań i zwiesiła nogi. Były gołe, więc Sandy czuła

chłód papieru, którym wyścielony był blat. Poprawiła krótką spódniczkę. Powróciły nudności, które przez ostatnie dwa tygodnie witały ją każdego ranka. Zasłoniła dłonią usta, żeby stłumić odgłos beknięcia.

– Coś z żołądkiem? – spytała matka.

– Boję się – odparła Sandy. Jej głos bardziej pasował do siedmioletniej dziewczynki niż do młodej, siedemnastoletniej kobiety. – Test dał wynik pozytywny, prawda?

Zanim matka zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, do pokoju wpadł siwowłósy doktor Braselton. Był starszy od rodziców Sandy. Jego dwoje dzieci skończyło już szkołę średnią w Rutland i jedno z nich studiowało teraz na akademii medycznej w Auguście. Matka Sandy uniosła się z krzesła.

– Siedź, siedź, Julie – powiedział doktor, machając ręką. – Akurat przed paroma godzinami widziałem się z Bobem na lunchu w klubie Rotary.

– Czy powiedziałeś mu, że...

– Nie, nie. Nie pamiętałem, że Sandy przychodzi właśnie dziś. Dopiero po powrocie do gabinetu sprawdziłem w kalendarzu.

Lekarz odwrócił się w stronę Sandy i otworzył trzymaną w rękę grubą teczkę z papierami. Zajmował się Sandy od samego początku. Rejestr zawierał wszystkie informacje na jej temat – od dziecięcych szczepień aż po opiekę po nagłym zabiegu usunięcia wyrostka. Braselton potarł palcem boczną stronę nosa i spojrzał na Sandy z łagodnością, od której dziewczynie nagle pociekły z oczu łzy. Wyjął z pojemnika kilka papierowych chusteczek i wcisnął jej do ręki.

– Sandy, jesteś w ciąży – powiedział. – A na podstawie informacji, które przekazałaś pielęgniарce, można powiedzieć, że to mniej więcej ósmy tydzień.

Sandy otarła oczy chusteczkami. Rozmytym wzrokiem dostrzegła, że jej matka również płacze.

– Wypiszę ci receptę na witaminy dla ciężarnych, które będziesz brała aż do wizyty u ginekologa – powiedział doktor Braselton, po czym odwrócił się do matki Sandy. – Ty chodzisz do Billa Moore’a, prawda?

Julie pokiwała głową.

– Mogę umówić wizytę albo...

– Zrobię to sama.

– W porządku.

Doktor Braselton milczał aż do chwili, kiedy Sandy na tyle się uspokoiła, że łzy płynęły jej z oczu już tylko wąskim strumykiem, a jej matka odzyskała swoją naturalną, stoicką równowagę.

– Jestem do waszej dyspozycji, pomogę, w czym tylko się da – powiedział. – Macie jakieś pytania?

Sandy spojrzała na matkę, a ta pokręciła głową. Doktor Braselton był dobrym człowiekiem. Przez dwie kadencje zasiadał w radzie miejskiej i był przewodniczącym ważnego komitetu kościelnego. Sandy nie chciała, żeby wyrobił sobie złą opinię o niej i o jej rodzinie.

– Wiem, kim jest ojciec – powiedziała, próbując zachować pewny głos. – Tylko jeden człowiek może nim być. Nie chciałam tego robić, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie spodziewałam się, że zajdę w ciążę. To znaczy... wiedziałam, że tak może być, ale...

Zatrzymała się w pół zdania.

– Czy ten chłopak wie, że tu jesteś?

– Nie. – Sandy znów przerwała. – Jeszcze nie.

– Przed tobą wiele ważnych decyzji – powiedział doktor Braselton, zamykając teczkę z dokumentami. – Jeśli będziesz chciała o czymkolwiek ze mną porozmawiać, zadzwoń do Patrycji, umówi cię na wizytę.

Łzy znów jej napłynęły do oczu. Lekarz poklepał ją po ramieniu. Sandy zauważyła, jak spogląda na jej matkę.

- Julie, to dotyczy także ciebie i Boba.
- Dzięki – wyszeptała kobieta.



Po wyjściu z gabinetu Sandy otworzyła drzwi samochodu od strony pasażera i przełożyła strój cheerleaderki na tylne siedzenie. Mundurek miał wyhaftowane z przodu cztery gwiazdy odpowiadające liczbie lat, w których Sandy należała do szkolnej reprezentacji.

– Nie będzie ci już to potrzebne – powiedziała matka, włączając silnik.

– Ale przecież w piątek wieczorem jest mecz w Caldwell County – zaprotestowała Sandy. – Jeśli nie będę robić żadnych niebezpiecznych akrobacji, chyba nie ma powodu, żebym nie mogła wystąpić. A po meczu Brad i ja idziemy z całą ekipą na pizzę. Powiedziałam mu dzisiaj, zanim wyszliśmy ze szkoły, że powinniśmy się trzymać z innymi, a nie spędzać cały czas tylko we dwójkę.

– Powinnaś była o tym pomyśleć mniej więcej osiem tygodni temu.

Sandy nie odpowiedziała. Była winna i nie miała żadnego usprawiedliwienia.

– Pamiętasz naszą rozmowę o seksie przedmałżeńskim? – spytała matka, wycofując samochód z miejsca parkingowego.

– Tak, miałam wtedy czternaście lat.

– I kiedy postanowiłaś, że trzeba o tym zapomnieć?

Sandy wyglądała przez okno i nie odpowiadała. Skręciły w Campbell Street i minęły agencję ubezpieczeniową ojca. Napis na fasadzie jednokondygnacyjnego budynku z czerwonej cegły głosił: „Lincoln – Usługi ubezpieczeniowe”.

– Naprawdę zabronisz mi być cheerleaderką? – spytała Sandy przytłumionym głosem.

– Słyszałaś, co mówił doktor Braselton o ważnych decyzjach?

– Tak, pani psorko.

– To nie jest jedna z takich decyzji.

Nie mając pewności, co znaczą te słowa, Sandy przez resztę drogi nie otwierała ust. Matka wprowadziła samochód do garażu, który poprzedni właściciel dobudował do wzniesionego w latach czterdziestych XX wieku i utrzymanego w stylu kolonialnym piętrowego domu z muru pruskiego. Przy krawężniku stał samochód Sandy, jasnożółty volkswagen garbus z kwiatowymi wzorami ponaklejanymi na zderzaki. Rzędy starannie utrzymanych krzewów rosnących przed domem odzwierciedlały panujący wewnątrz porządek.

Sandy weszła na górę do swojego pokoju. Okno wychodziło na symetrycznie rozrośnięty klon, na który w dzieciństwie tak bardzo lubiły się wspinać z Jessicą Bowers. Pod drzewem stał dom dla lalek w stylu wiktoriańskim, z dwuspadowym dachem, zbudowany przez ojca Sandy. Wciąż jeszcze był w dobrym stanie. Oczyszczała go z pajęczyn, a co parę lat razem z ojcem pokrywali go świeżą warstwą różowej farby. Matka mówiła przyjaciółom, że domek czeka na wnuki. Teraz Sandy żałowała, że pragnienie matki ma się spełnić tak wcześnie.

Dziewczyna wsunęła na siebie ulubione dzinsy i wciągnęła brzuch, żeby je zapiąć. W zeszłym tygodniu czuła się w nich komfortowo. Teraz było jej w nich niewygodnie. Zdjęła je i założyła wyciągnięte, szare spodnie od dresu. Po bokach obu nogawek biegł duży czerwony napis „Rutland High School”.

Usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi – to jej młodszy bracia Jack i Ben przybiegli do domu. Chłopcy, z których jeden miał dziesięć, a drugi trzynaście lat, dzielili przestronną

sypialnię po przeciwnej stronie holu. Dziewczyna wyszła na korytarz w momencie, kiedy jej bracia ścigali się po drewnianych schodach. Ben zwolnił i przykucnął, zbliżając się do niej.

– Patrz, pokażę ci nowy chwyt, którego się dziś nauczyłem na zapasach. Przewróciłem Andy’ego na plecy jak żółwia.

– Nie teraz. – Sandy podniosła ręce do góry. – Źle się czuję.

Ben wstał. Swoimi brązowymi włosami, ciemnymi oczami i szerokimi ramionami do złudzenia przypominał ojca. Natomiast Jack wciąż był jeszcze chuderlawym blondynkiem. Sandy słyszała, jak młodszy brat rozbija się po pokoju.

– To dlatego poszłaś do lekarza? – zapytał Ben.

– No... tak.

– Dał ci jakieś lekarstwa?

– Witaminy.

– Ale ty już bierzesz witaminy.

– Za to ty nie bierzesz – odpowiedziała Sandy.

Ben napiął prawy biceps, który w ciągu ostatniego roku chyba podwoił rozmiary.

– Wyobrażasz sobie, jakie bym miał potężne mięśnie, gdybym brał witaminy?

– Tak, ale kto cię położył na rękę w zeszłym tygodniu?

– Jak tylko się lepiej poczujesz, musi być rewanż.

Sandy zostawiła Bena i zeszła na dół, do kuchni. Matka rozmawiała przez telefon. Spojrzała znad słuchawki na wchodzącą córkę.

– Zadzwoń później – powiedziała, odkładając słuchawkę.

– Kto to był? – zapytała Sandy.

– Linda.

Starsza siostra Julie Lincoln mieszkała w Atlancie. Sandy spojrzała przez ramię. Braci nie było w zasięgu wzroku.

– Mówiłaś jej o... no wiesz?

– Tak.

– Dlaczego?

Matka usiadła przy prostokątnym stole, przy którym rodzina jadła wszystkie posiłki. W głębi kuchni biegł rząd okien. Sandy spoglądała na klon, na dom dla lalek, rabatki z kwiatami i dużą połąć trawnika, starannie pielęgnowanego przez ojca.

– Bo jestem zdezorientowana i potrzebuję jej rady.

Sandy nie była przyzwyczajona, że matka przyznaje się do słabości.

– Nie wiem, jak mam rozmawiać z twoim ojcem o tym, co powinnaś zrobić z dzieckiem, co powiedzieć rodzinie Brada, co ze szkołą. Ty myślisz o cheerleaderowaniu. A ja się martwię o całe twoje życie.

Sandy klapnęła na krzesło i oparła głowę na dłoniach.

– Najbardziej się boję rozmowy z tatą, a na drugim miejscu z Bradem i jego rodziną – powiedziała. – Pani Donnelly to miła kobieta. Myślę, że zrozumie, kiedy jej...

– Nie masz zielonego pojęcia, jak zareaguje Kim Donnelly – przerwała jej ostro matka. – Sprowadzili się tutaj niecały rok temu. Kto wie, jakie mają przekonania? W sklepie z kosmetykami słyszałam, jak ktoś mówi, że oboje byli wcześniej w związkach i się rozwiedli.

– Ale to było już dawno temu – powiedziała Sandy, unikając spojrzenia matki.

Nie miała zamiaru zdradzać, co w naturalny sposób przekazywał jej Brad. W roku 1974 w małych miasteczkach w stanie Georgia rozwód wciąż wiązał się ze społeczną stygmatyzacją.

– To się działo, zanim urodzili się Brad i jego brat – powiedziała.

– A czy byli już po ślubie, kiedy Kim poczęła Brada?

– Oczywiście – odparła Sandy, a zaraz potem uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy nie zna odpowiedzi na to pytanie. – To znaczy, byli już dorośli.

– Sądzisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Nie, pani psorko – przyznała Sandy. – Ja się nie czuję dorosła.

– Bo nie jesteś, jeśli nie liczyć tarapatów, w jakie się wpakowałaś.

Do oczu Sandy ponownie napłynęły łzy. Nigdy wcześniej nie była tak niestabilna emocjonalnie.

– Brzmi to brutalnie, ale taka jest prawda – ciągnęła jej matka. – Nie jesteś jeszcze gotowa do samodzielnego życia, a co dopiero mówić o odpowiedzialności za dziecko.

– Wiem – powiedziała Sandy, pociągając nosem. – Ale czuję się lepiej dzięki temu, że Brad mnie kocha. Powiedział mi to na imprezie po pierwszym meczu na naszym boisku. Razem będziemy w stanie poradzić sobie z problemami.

Matka ukryła na chwilę twarz w dłoniach, a potem spojrzała na córkę.

– Sandy, proszę cię, nie mów takich rzeczy. Szkolny romans to nie jest coś, na czym można budować przyszłość.

Sandy nie miała siły dyskutować. Wstyd odebrał jej cały animusz, którego normalnie miała pod dostatkiem.

– Wychodzę na dwór – powiedziała.

– Idź – odparła matka. – Teraz nie jest dobra pora na rozmowę. Jestem tak samo zdenerwowana jak ty i potrzebuję trochę czasu, żeby się nad wszystkim zastanowić, zanim wróci ojciec. Rozczarowałaś mnie, ale nie chcę, żebyś brała na siebie cały ciężar jego reakcji.

Sandy wyszła do ogrodu. Większość liści opadła już z drzew. Bracia zagrabili je do kompostownika za domem. Po jesiennym nawożeniu trawa miała soczysty kolor.

Otworzyła małe drzwiczki domu dla lalek i wślizgnęła się do środka. Oparła się o goły blat, który w zabawach grał rolę kuchenki, zlewu bądź stolika do przewijania dzieci. Wyobrażnia dziewczyny bywała czasem równie bujna jak rzeczywistość jej dzieciństwa. Sandy podciągnęła kolana pod brodę i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, nic się nie zmieniło. Czuła, że jest w pułapce. Wyobrażnia straciła swą magię. Sytuacja, w jakiej się znalazła, nie pozostawiała miejsca na udawanie.

Nadal była w ciąży.

Spis treści

Część pierwsza

Rozdział 1	9
Rozdział 2	18
Rozdział 3	31
Rozdział 4	42
Rozdział 5	53
Rozdział 6	66
Rozdział 7	80
Rozdział 8	91
Rozdział 9	106
Rozdział 10	117
Rozdział 11	128
Rozdział 12	143
Rozdział 13	158
Rozdział 14	168
Rozdział 15	180

Część druga

Rozdział 16	197
Rozdział 17	210
Rozdział 18	220
Rozdział 19	227
Rozdział 20	236
Rozdział 21	250
Rozdział 22	263
Rozdział 23	277
Rozdział 24	294
Rozdział 25	312

Rozdział 26	334
Rozdział 27	346
Rozdział 28	361
Rozdział 29	371
Rozdział 30	382
Rozdział 31	393
Rozdział 32	408
Rozdział 33	423
Rozdział 34	441
Rozdział 35	457
Rozdział 36	471
Rozdział 37	482
Rozdział 38	493
Od autora	504